

Intro



Nazywam się Gaja – SuperZiemia. Może was dziwić i denerwować moja świadoma obecność tutaj – cóż, nie chwalebę się, robię, co trzeba, a wciąż niewiele jest osób, które rozumieją istotę owej pracy.

Nazywam się Gaja i od eonów przebywam w miejscu, które istnieje odwiecznie, zawieszonym w próżni, na pętelce ze światła. Wykonuję kilka zadań naraz, w tym wypowiadam słowa, tworzę z nich opowieść i powołuję do Życia zaledwie nieznaczną zmianą w ułożeniu warg. Nieprzerwanie czynię też inspekcję uniwersum. Zauważam światy, w innym razie, przy możliwym pięknie i ogromie całej galaktyki oraz z milionem potencjałów na każdym jej skrawku, formalnie by nie istniały.

Pamiętajcie – to słowa tworzą rzeczywistość.

Inaczej mówiąc – to ja ją tworzę, z ciepłego miejsca wewnątrz. Wszystkim kobietom także przekazałam, jak to robić, więc warto, by wyrzucały z siebie wysoko wibrujące głoski, podobnie lekkie i lotne do pyłków dmuchawca. Natomiast zwykle wasze dźwięki są jak glina, w całej historii ludzkość tyle zimnych

i nieskładnych grud wypluła z siebie, że gdyby jej mowa miała kolor, to byłaby czarna jak górnicza hałda.

Ciekawie zresztą zdarzyło się z tą kreacją. Gdy świat się podzielił, rozproszył z Jednego i wydał wiele istot – tych potężniejszych i tych do mnie podobnych – rozbiegły się od razu na wszystkie strony i zaczęły nadawać. Od tego momentu i ja, obudzona szmerem z pulsarów: jem, trawię i wypróżniam się, oddycham – a w konsekwencji – powołuję to, co znacie. Spraw pilnuję w sposób konkretny i zorganizowany, bo gęb do wykarmienia jest sporo. Dlatego – jak by to określić, żeby miało dobry wydźwięk – muszę mieć ze wszystkim, z całym tym brzemieniem w brzuchu, jakiś słoneczny, nazwijmy to, układ.

Słońce to mój mistrz duchowy. Jest z nas tutaj wokół będących najbardziej oświecone.

Jeśli spojrzeć na sąsiadów, to albo nieustannie toczą walkę i szczerwienieli już ze złości, a każde zapytanie rozwała ich system nerwowy i wrzeszczą, albo patrzą tylko na swoje odbicie w lustrze. I kąpią się w wyrzutach koronalnych, robią maseczki księżycowe, nacierają pachnidłami z wiatru słonecznego skórę. Przenikamy się niekiedy myślą, organizujemy wspólne życie towarzyskie, porządkujemy najważniejsze sprawy, nieco odrzucając istnienie planet po zewnętrznej stronie pierścienia. Co do tych po wewnętrznej – wprawiają mnie w zakłopotanie ich zupełnie niepraktyczne osobowości. Są podobne do was, mam opór rozważać więcej o tym, co wyrabiają

na co dzień. Bardziej dojrzały jest nawet ten dzieciak, Merkury. Czy kiedykolwiek tak myślałeś lub myślałeś o nich?

Niestety, przywiązałam się już do przestrzeni. Istoty z mojej sfery przyzwyczajają się do miejsc, gdy uznają je za swoje. Rzadko się zdarza, że ktoś ucieka. Mogą się skurczyć, dostać kometą czy tam innym spamem z nieba, mogą się zapaść albo wybuchnąć i potem po okolicy migruje sterta skał – tak było, zdaje się, z tutejszą pramatką Tiamat – ale postawmy sprawę jasno: planety takie jak ja nie opuszczają stanowiska. Jeśli raz zrodzą Życie, to już na zawsze biorą za nie odpowiedzialność.

Wątpię jednak, byście kiedykolwiek dali radę to zrozumieć. Te zawiłości są trudne do poznania dla ludzi, przykro mi to mówić. Trzeba mieć jakiś wyższy poziom wiedzy i empatii; wrzaski zaś, kłótnie, wykopy i grodzenie terenu, który do was nigdy nie należał, przeważnie nie służą wglądom ani pogłębieniu świadomości.

W związku z awanturami przyjąłam taki oto rytm istnienia: ciało unoszę i obniżam miarowo. Z przerwami na katastrofy naturalne: wybuchy wulkanów, powódzie, topnienie lodowca i od czasu do czasu jakiś huragan. Pamiętam wszystko, co kiedykolwiek zostało powiedziane na mój temat. Żadnej z tych rzeczy nie przemilczam, a niektóre odniesienia zostawiam w postaci skalnego śladu, odcisku na gładkim, niespodzianki w łupku. Są takie cywilizacje, które zmiotłam

całkowicie z powierzchni i nie znajdziecie po nich nawet ziarna piasku.

Niektórzy jednak usilnie twierdzą, że potrzebuję pomocy. Idą w manifestacjach, narzekają, organizują zbiórki. Niby dlaczego trzeba pomagać komuś, kto swobodnie interferuje z gładką falą najbliższej gwiazdy? Ba – może stwarzać światy, przenosić zwierzęta i rośliny z jednego kontynentu na drugi, ożywiać i odbierać życie, ściągając wodę pod skórę, pod swój wytatuowany pustynią naskórek. Jednym swoim oddechem jestem w stanie przekreślić ludzkie wysiłki, a wy rozmyślcie o pomocy?

Bardzo śmieszne.

Zrodziłam się z chaosu i mam w nim specjalizację. Mity stworzyłam, bo inaczej nie dało się wam o mnie opowiedzieć, ograniczeń percepcji nie pokona się w tysiąc lat. Jeżeli jednak chcecie zmienić postrzeganie, proszę bardzo, można to zrobić z pomocą choćby jednej aksamitnej metafory. Wciąż wam o tej możliwości opowiadam, tkając informacje ze skał, liści i chmur; wciąż jestem pierwotną matką, która koi lęki przy wieczornym mleku, ale nic nie rozumiecie.

Mieję opady, wiatry, susze i pożary. Wiatr przenosi słowa z kontynentu na kontynent, grają muszle na plażach, szumią liście rozłożystych dębów. Śnieg daje ukojenie oczom, jeziora wilgoć. W mchach mieszkają meszki, w strumieniach chruściki. Czasem ktoś mnie słyszy i słyszy pieśń, łapie dźwięki spadających nasion. A czasem, chwilę przed przejściem w stan próchniczny,

odbiera żyzny ton rozkładających się tkanek i wysyła im miłość, różowo-zieloną nitkę.

Uśmieciam się wtedy, ale to ani dobrze, ani źle. Rozczarowaliście mnie dawno temu. W istocie patrzę na wszystko, co robicie, z dystansu – śnicie tyle snów, że nie sposób z ich mnogości złowić ten najlepszy mój obraz, prawdziwy; budzący jak perełka kwasu na języku.

We śnie tym jestem niebieska. Kiedy indziej żółta od piasku i skoszonej, przeschniętej trawy. Bywam też czarna, żyzna tylko, lecz niezasiedlona, lub przeciwnie – z kominami małych osad i rozległymi kwartałami miast. Z płaskim grzbietem lub pofalowaną okolicą. Z lilakiem w każdej zagrodzie i pasiflorą na zamkach czy ostatnich piętrach wieżowców. Bluszczowa i mango. A nawet w palmy lub tundrę biegnącą gdzieś głęboko w las – różnorodna, naznaczona sokami, szczegółami radosnego patrzenia.

Jednocześnie w momencie snu moja pigułka wciąż wisi w kosmosie pośród próżni – a dla niej ani barwy nie mają znaczenia, ani to, co potraficie o Ziemi wymarzyć. Próżnia bowiem jest próżnią, jest próżnią, jest próżnią i powstała po to, by widzieć sprawy w szerokim zarzysie.

Jeśli podsumować zatem ten krótki wywód tutaj, na dłuższy szkoda mi bowiem marnować słów planety Gai: ogarniam tyle spraw, że naiwnością jest wierzyć, że skupiam się na jednym tylko gatunku – waszym. W dodatku takim, który ma mniej rozumu i znaczenia niż najpospolitsza odmiana rdestu.

Ludzkość to naprawdę nie jest forma życia wymagająca najwyższej uwagi. Bardziej ciekawe są choćby te małe niebieskie kwiatki wznoszące się w czerwcu, chłone wodę przetaczając.

Jestem – mówiąc najprościej, w waszym języku, brzydkim i nieudolnym w zieleni i chlorofil, dawno oderwanym od znaczenia; mówią też okrutnie, jak okrutne bywa ludzkie postępowanie wobec innych braci i siostr w Życiu – wami, w waszym obecnym stanie świadomości, niezainteresowana.



M514. Paproć

Na białej ladzie Ion ułożył eksponaty. Zrobił to z głębokim szacunkiem, powoli, niemal głaszcząc i całując każdy z cennych preparatów energetycznych. Powierzchnia przechowalni była czysta i sterylna, na blacie kątem oka widział odbicie wylotu z wentylacji.

Bardzo cenił możliwości i struktury organizacyjne Muzeum Historycznego, które przechowywało pamięć w świetnie zaprojektowanych modułach, pozbawionych nieporządku, jaki czasem jeszcze wzmagał się wraz z wiatrem i okresowo towarzyszył sprawom na zewnątrz.

W równym rzędzie leżały przed nim obrazy roślin historycznych, najstarsze nawet z dwudziestego wieku. Lubił patrzeć na skondensowaną w nich, choć wyblakłą, zielen i przywracać liście i kwiaty do istnienia. Potem soczyste, odtworzone z oryginałów barwy pozwalały ukoić ból oczu, nadużytych przez lata, gdy spoglądał w terytorium planety i jej suchą powierzchnię.

Lubił pracować zwłaszcza ze spłowiałymi obrazami róży (*Rosa*) – ten termin znał dzięki kolegom

z Działu Archeologii Nazewniczej. Z zarysu płatków był w stanie wyczytać wiek i strukturę kwiatu, pierwotne odcienie, jakie prezentował, oraz lekkie zagłębienia i uszkodzenia powierzchni, a nawet drobinę zapachu, który dziś tylko bardzo odlegle się tlił na skali urządzenia, lata temu intensywnie jednak wydzielając jakąś woń i otaczając nią być może czyjąś posesję. Gdy sprawdzał odczyty na skali, wyobrażał sobie siebie w staromodnej marynarce i podkoszulku w serek, jak przynosi naręcze takich róż do domu i stawia je w wazonie, a ukochana kobieta całuje go w policzek. Badał wszystko, ale o Ziemi retro zostało tak niewiele danych, że czasami nawet najlepszym archeologom nie udało się wnikać dokładnie w kwestie poważniejsze niż zapach.

Zachował się natomiast ten zupełnie martwy język, którym starożytni oznaczali swoje dane. Ion usiłował odczytywać zostawione pod wizerunkami roślin pojedyncze słowa, ale nie szło mu to za dobrze bez naukowej specjalizacji i wiedzy, w którą wyposażano tylko Dział Lingwistyczny. Podziwiał schowane dziś w sterylnych klastrach zdania, nadziane na równie nieżywy i nieistniejący papier, spisane w archaicznych kształtach głoski, trochę podobne do obecnych alfabetów, trochę obce, w kombinacjach i zestawieniach zupełnie dziś niespotykanych, ze znakami, z których próżno poznać znaczenie i wymowę. Owo dłuższe, nieuzasadnione przebywanie z iksami oraz niezgłębionymi zagadkami symbolu Q czasami podnosiło

mu temperaturę skóry. Patrzył na stare zapisy i jednocześnie czuł, jak na dłoniach wyłaniają mu się podczas tej obserwacji rzędy delikatnych kropel. Czasami je zlizywał, prosto z ręki.

Nie mógł sobie darować tej nieomalże nielegalnej przyjemności i chociaż jego praca polegała na czym innym, uśmiechał się za każdym razem, gdy mógł otworzyć pudełko z nową rośliną i jednocześnie spojrzeć na ciągi wyrazów z tak odległymi znaczeniami. O wiele za długo, jak na naukowca, stał obok nich bezradny, lecz szczęśliwy. Potem zawsze szybko przesunął kolejny klaster, spłoszony jakby mocą liter oraz odczucia, jakie z nimi przychodziło.

Niemniej robił to.



Ion wybrał najbardziej przezroczystą sekwencję i wcisnął przycisk. Na ekranie przed nim pojawiły się najpierw jedna, a potem dziesiątki, setki i tysiące energetycznych komórek, ostro pulsujących. Przysunął do siebie tę, która świeciła najmniej, ruchem palców powiększył do rozmiaru dłoni i zaczął ładować. Żółte światło powoli nasycalo wadliwą część klastra, a umocowana w komórce paproć (*Polypodiopsida*) bez pośpiechu, ale systematycznie nabierała barw. Jestem tu, cieszę twoje oczy – mówiła, i przysięgłby, że ją słyszał, choć mowa roślin nie była przecież racjonalna. Brzegi liścia stawały się wyraźniejsze, po kilku minutach zobaczył nawet mniejsze i większe żyłki

oraz wyraźne zarysowanie trzonu. Po chwili, nasycona światłem i podtuningowana dodatkowym sztucznym luminatem część obiektu zgrabnie wisiła już przed urzędnikiem.

Obrócił roślinę i stworzył model sześcienny. Komputer chwilę pracował nad efektem, szumiał – Ion twierdził, że urządzenie było przynajmniej tak stare jak część eksponatów – w końcu system zatrzeszczał znaną sekwencją i wypuł skrypt. Ion ostrożnie przeniósł go do replikatora, a potem skopiował, rozszerzając genom. Paproć, która po chwili transmitowała się w pojemniku witacyjnym, okazała się szczególnie dorodna, był nawet zaskoczony, jak bardzo. Zazwyczaj witacje nie pojawiały się tak piękne, a poza tym, że były sztuczne, często miały widoczne ubytki.

Ten egzemplarz wydawał się doskonały, poza perfekcyjnym układem liści wystąpił u niego ów upragniony u replik żywy zielony kolor, który wprawiał w drżenie nawet największych sceptyków. Ion spojrzął na swój wyrób – i z satysfakcją schował klaster, przedstawił donicę na bok. Wiedział, że komisja działa także będzie zadowolona, co dla niego osobiście oznaczało premię. Jutro dokładnie zbada właściwości rekonstrukcji, być może dzisiejsza witacja to krok do idealnego procesu i za kilka lat każdego będzie stać nawet na kilka takich w domu.

Z radością włączył muzykę. Mimo braku naukowych przesłanek ku temu, ciągle mu się wydawało, że może mieć ona dobry wpływ na witacje.

M514. Morze



W kłastrach Muzeum Historycznego przechowywano setki tysięcy wzorców roślin sprzed naszej ery. Kilka tysięcy instytutów na całym świecie zbierało niegdyś okazy, nasiona i zarodniki w swoich regionach, katalogowało je i zachowywało dla potomności. Ion znał wszystkie zakamarki tego instytutu i jako urzędnik szóstego rzędu, dość sprawnie funkcjonujący, obeznany w poszczególnych działach, a także – i to bardzo dobrze – w niuansach replikacji, mógł wkrótce liczyć na awans.

Codziennie, gdy wracał do domu, wyjmował ze storedżu porcję alg słodkich, lekko je podgrzewał, siadał na swojej białej sofie i wysuwając pudełko ze sztucami, wizualizował dzień, w którym otrzyma wreszcie kitel piątkarza. A wraz z nim nieograniczony dostęp do zasobów lasu iglastego – drzew sosnowych i zapachów. Nie mógł się już doczekać kolejnego spotkania działu, na którym jego kolega Soion, niedawno awansowany, zaproponuje nazwisko Iona do zaszczytnej funkcji urzędnika piątego rzędu.

Włączał infoport i jedząc, oglądał programy o historii naturalnej. Trójwymiarowy obraz przenosił go w świat puszczy, jej krzewów, drzew i ptaków śpiewających w koronach. Program wciąż nie uwzględniał pozostałych gromad – ssaki i owady pozostały niesklasyfikowane, tak samo kwiaty, brakowało też wielu roślin poszycia. W takich chwilach czuł, że jego praca ma ogromny sens – odtworzenie wszystkich niuansów natury to było gigantyczne przedsięwzięcie, a istniejący katalog wciąż pozostawiał wiele do życzenia. Budowany chaotycznie, przypadkowo i w pośpiechu wrzucający gatunki w zabezpieczenia klastra – powinniśmy być wdzięczni, że i tak cokolwiek się uchowało i może teraz służyć kolejnym ludziom.

Wymieranie postępowało stopniowo. Na początku przejmowali się nim tylko nieliczni, potem, gdy problem narósł i ziemia stawała się bardziej jałowa, zamiast pól i lasów pojawiły się farmy morskich glonów, wielkie zamknięte ze wszystkich stron połacie upraw w oceanie, dające dzisiaj pokarm rzeszom urzędników wszystkich rządów, rolnikom, wytwórcom wizji i sprzątaczym. Glony żywiły bez różnicy, wszyscy po równo dostawali swoje porcje morskocyny, od dawna nikt się nie burzył. Produkcja ruszyła pędem po wynalezieniu fucusatu, który tak dobrze się sprawdzał w każdej, nawet gorzej urządzonej kuchni.

Botanicy starali się odtworzyć endemity roślin zachowanych sprzed wymierania, szło to powoli i dotychczas wynalezione metody okazały się nieskuteczne,

aczkolwiek Ion uważał, że badania nad nimi są obiecujące. Bolał jednak nad tym, że nie powiodło się budowanie klastrow w przypadku zwierząt. O ile kwiaty czy liście sprawnie się zamykały w kapsułach i po próżniowaniu zachowywały swoje właściwości, nawet jeśli były suche, to wszystkie ssaki i inne kręgowce przechowywane w Muzeum Historycznym po prostu po jakimś czasie zgniły, zostawiając naukowcom tylko kości. Z nich trudno się odtwarzało cokolwiek, była to żmudna praca, w dużej części polegająca na zgadywaniu opcji na podstawie innych zachowanych materiałów archiwalnych. Kolory, struktury, ułożenia wzorów – Ion wiele nieprzespanych nocy spędził na próbach wyobrażenia sobie, jak to mogło wyglądać w przypadku popularnego kiedyś w ogrodach przydomowych tulipana (*Tulipa L.*) czy kwitnącej w wiosennym lesie konwalii majowej (*Convallaria majalis*). Co do zwierząt – nawet nie próbował. Byli w tym lepsi – jego koledzy z Muzeum, a zwłaszcza osławiony i często wypowiadający się w audycjach infoportu ulubieniec twórców wizji Misos z Działu Ssaków; również on w prywatnych rozmowach niejednokrotnie narzekał na mrówczą i często bezowocną pracę, jaką musiał wykonywać, by przywołać do życia chociażby tylko obraz psa.

Nieco lepiej wyglądało to z owadami. Ion ustalili kilka lat temu, że w jakiś sposób służyły one do zapyłania i rozrodu roślin, ale z zasobów klastra nie sposób było odgadnąć tak od razu, o co w tym dokładnie

chodziło – znów musiał się zwracać o pomoc do kolegów z Działu Źródeł Historycznych, czemu towarzyszyła długa i pełna utrudnień procedura. Z kolei skrzydła i pancerze owadów zbudowane z cennej chityny dobrze się zachowały w klastrach, a muszle nieco wyżej usadowionych w systematyce ślimaków po wielokroć znajdowano w wykopaliskach nawet do tej pory.

Ocean to co innego.

Morze właściwie, większe oczko wodne, bo do niego, pod jedną z większych kopuł, skurczyła się olbrzymia kiedyś przestrzeń Wszechoceanu.

Siedemset miast planety rozwijało się przy brzegach wody, którą w niewielkiej mierze dawało się filtrować tak, by nadawała się do picia oraz by na wybrzeżu móc hodować w niej glony. W tym świecie nigdy nie padało, olbrzymie satelity na orbicie chroniły niebo przed formacjami kwaśnych chmur.

Ion był dumny z osiągnięć cywilizacji i pracy wszystkich swoich kolegów; dumny z postępu technicznego, który pozwalał odtwarzać historię i karmić ludzi na tak szeroką skalę. Dokończył przydziałową szklankę napoju, wsunął ją do dezynfektora, otworzył łóżko i wyjątkowo nie korzystając ze zdalnego usuwacza brudu, położył się w białej pościeli i zasnął.